

Marcin Michalski - ostatni o(L)impijczyk

Poniedziałek, 27 lipca 2020 r. godz. 10:00, źródło: Legionisci.com

Marcin Michalski jest ostatnim jak dotychczas koszykarzem Legii, który brał udział w Igrzyskach Olimpijskich. Skrzydłowy Legii (urodzony 9 lipca 1958 roku) został powołany przez Stefana Majera do kadry, która w 1980 roku w Moskwie zajęła siódme miejsce. Michalski na IO wystąpił w dwóch meczach - z Jugosławią oraz Indiami (4 punkty). Przez kilkanaście lat występował w jednym klubie - w Legii, do której trafił w wieku 14 lat i opuścił dopiero, gdy wyjeżdżał w 1988 roku do Francji. W barwach Legii zdobył wicemistrzostwo Polski juniorów w 1976 roku, a pięć lat później dotarł do finału Pucharu Polski. Łącznie rozegrał 324 mecze ligowe z eLką na piersi.

W jakich okolicznościach trafił Pan do koszykarskiej Legii?

Marcin Michalski: Mieszkiałem w okolicach Sejmu, na ulicy Wiejskiej. A na zajęcia koszykówki wysłał mnie mój nauczyciel WF-u ze szkoły nr12, przy ulicy Górnośląskiej, pan Adam Żelazny. Później był trenerem siatkarek reprezentacji Polski w latach 70. Pan Żelazny wysłał mnie do MDK-u na Placu Trzech Krzyży, gdzie początkowo miałem rozpocząć treningi regularne... w siatkówkę. Ostatecznie trafiłem w MDK-u na trenera Grądzkiego, który był trenerem koszykarzy i zacząłem trenować koszykówkę. Grałem tam przez dwa lata, po czym jeden z moich znajomych poradził mi, abym przeszedł do Legii. To był na pewno bardziej profesjonalny klub. Poszedłem do Legii, gdzie aby się dostać, trzeba było przejść testy. Mieliśmy taki sprawdzian - graliśmy mecz, a młodymi wówczas w Legii zajmował się trener Władysław Pawlak. Z tego co pamiętam, w pierwszym meczu w Legii, kiedy miałem 14 lat, rzuciłem 39 punktów. I właściwie w ciągu trzech miesięcy, trafiłem do reprezentacji Warszawy, a później również dość szybko do reprezentacji Polski juniorów. Z nią w roku 1975 przygotowywałem się do meczu z Holandią i w tamtym okresie pojawiałem się już na zajęciach pierwszego zespołu. W pierwszym zespole Legii zagrałem po raz pierwszy w roku 1976.

Kiedy byłem jeszcze młodym graczem, przyglądałem się takim zawodnikom jak Kozak, Dolczewski, czy Korcz. Każdy z nas, młodych, marzył, by w przyszłości grać tak jak oni.

W 1976 roku w mistrzostwach Polski juniorów w Warszawie zdobyliście z Legią srebrny medal. W finale przegraliście ze Śląskiem Wrocław (71:79). Jak odebrany został osiągnięty przez Was wynik, bo dodajmy turniej finałowy odbywał się w Warszawie.

- Na pewno lepiej byłby oceniany, gdyby udało się zwyciężyć. Trzeba jednak pamiętać, że Śląsk był wtedy naprawdę mocny. Warto też podkreślić, że właściwie cała drużyna juniorów Śląska z tamtego rocznika, chwilę później grała już w seniorach tego klubu. W Legii było trochę inaczej. Po tym, jak we wspomnianym turnieju finałowym, zajęliśmy drugie miejsce, w Legii zostali właściwie tylko Robert Chabelski, Krzysztof Ogródowczyk i ja.

Jak wyglądało przejście do pierwszego zespołu Legii?

- Z reprezentacją Polski juniorów byłem na obozie w Piotrkowie Trybunalskim, a Legia grała wtedy mecz ligowy właśnie w Piotrkowie Trybunalskim [z Piotrcovią - przyp. B.], bo tam była druga liga w tamtym czasie. To wtedy trener Legii powołał mnie do drużyny po raz pierwszy. Drużyna przyjechała na mecz z Warszawy, a ja dołączyłem do nich na miejscu.

Srebrny medal Mistrzostw Polski Juniorów zdobył Pan już po turnieju finałowym Mistrzostw Europy do lat 18 w Santiago de Campostella, w których również brał pan udział. Zajęliście tam szóste miejsce, a udział w takim turnieju chyba był sporym wyróżnieniem?

- Mistrzostwa Europy w Santiago de Campostella w roku 1976 były moimi drugimi mistrzostwami Europy w kategoriach młodzieżowych. Rok wcześniej brałem udział również w ME, które odbywały się w Grecji. Tam zajęliśmy odległe miejsce. Miała też miejsce niezbyt śmieszna historia z biletami samolotowymi, bo mieliśmy wcześniej wracać z tego turnieju.

Jakim trenerem był Leszek Arent prowadzący wtedy młodzieżową reprezentację Polski, który wcześniej był koszykarzem Legii?

- Trudno jest oceniać trenera. Ale to co łączy Arenta, a także innych trenerów z którymi pracowałem - Pawlaka, Maleszewskiego, czy Majera, to fakt, że mieli podstawy koszykarskie, bowiem wcześniej sami grali w koszykówkę i przygotowywali nas najlepiej jak

potrafili. W tamtych latach pojawiały się problemy administracyjne, na które trenerzy nie bardzo mieli jakiś wpływ. Często były również problemy ze sprzętem.

Władysław Pawlak był wcześniej zawodnikiem o podobnych do Pana "parametrach", grał na podobnej do Pana pozycji. Czy przekazywał Panu wskazówki, jak zachowywać się na parkiecie w określonych sytuacjach?

- Można powiedzieć, że w koszykówce Władysław Pawlak był moim ojcem. Zaczynałem pod jego okiem w drużynach młodzieżowych Legii, on też był trenerem reprezentacji Warszawy, do której trafiłem, a później reprezentacji okręgu Mazowsze. Pawlak był również trenerem pierwszego zespołu Legii i reprezentacji Polski. To był człowiek bardzo szanowany, świetny trener. Miał dwa metry wzrostu i grał na pozycji centra, ja z kolei byłem skrzydłowym. Miałem przyjemność pracować pod jego okiem przez wiele lat, w różnych kategoriach wiekowych. W samej Legii łącznie pracowałem z dziesięcioma trenerami, jeśli się nie mylę.

W drugim sezonie z Legią awansował Pan z drugiej ligi do pierwszej (najwyższej klasy rozgrywkowej). Czy różnica pomiędzy tymi ligami była wtedy wyraźna?

- Według mnie tak. Na pewno drużyny, które regularnie grały w drugiej lidze prezentowały niższy poziom niż ten, który my reprezentowaliśmy. W tamtym czasie Legia niestety nie była zespołem zbyt dobrze scementowanym. W klubie wojskowym, połowa zawodników to byli żołnierze zawodowi, a pozostali to byli żołnierze ze służby czynnej - brani byli do wojska z innych klubów. To wiązało się z tym, że choć podstawa drużyny pozostawała, to było sporo graczy, którzy dochodzili i po dwóch latach gry, znów ich nie było.

Dało się odczuć wrażenie, że ci, którzy przychodzili na czas odbycia służby wojskowej, traktowali grę i treningi trochę inaczej, z mniejszym zaangażowaniem?

- Nie można tak uogólniać, dużo zależało od poszczególnych zawodników. Na przykład bardzo dobrze wspominam Makaruka z Lecha, zresztą z Poznania przyszło wtedy więcej graczy. Oni byli młodzi i nie myśleli w ten sposób, że nie chcą grać w Legii. Starali się na miarę swoich możliwości, próbowali wykorzystać szansę, jaką Legia im dała. Jako młody chłopak trafił tutaj Jarosław Marcinkowski z Lecha Poznań - odbył służbę wojskową, a żeby nie tracić dwóch lat, grał w Legii najlepiej jak potrafił, a mieszkał na kortach na Legii. Na przykład do Legii chciał przyjść bardzo dobry zawodnik - Krzysiek Fikiel, który prawie całą karierę spędził w Wiśle Kraków. Jednak wtedy Legia nie potrafiła stworzyć takich warunków finansowych, jakie oferowały inne kluby i stąd też nie udało się go tutaj zatrudnić.

Na parkietach ekstraklasy w sezonie 1979/80 pojawił się Kent Washington. To była swego rodzaju nowa jakość na polskich parkietach?

- Przyjechał do Polski i grał w Lublinie. To już był okres tak zwanej "odwilży". Chwilę wcześniej reprezentacja Polski dwukrotnie poleciała do Stanów Zjednoczonych. Na pierwsze tournée po USA oraz Brazylii, z Legii polecieł Janek Kwasiborski i Piotrek Ciak. Na drugie tournée, w 1979 poleciałem ja. Rozegrałem wtedy w USA trzynaście meczów i mogliśmy zobaczyć na własne oczy jak grają Amerykanie. Kent Washington pokazał na naszych parkietach jak prowadzić grę, pchać drużynę do przodu. Bez wątplenia był wyróżniającą się postacią.

Czy ten wyjazd do USA można traktować jako nagrodę dla wyróżniających się zawodników?

- Te wyjazdy miały na celu, abyśmy zobaczyli i poznali koszykówkę na najwyższym poziomie. Graliśmy wtedy z drużynami uniwersyteckimi, ale oglądaliśmy także inne spotkania na miejscu. Do USA w tamtym czasie latały trzy samoloty tygodniowo, a nie osiem dziennie jak ma to miejsce obecnie. To były zupełnie inne czasy. Koszykówka amerykańska to była zupełnie inna jakość, a w Polsce to wtedy było tabu. Nie było żadnych transmisji z tamtejszych rozgrywek, nie można było nawet poczytać o tym w prasie, bowiem nie było żadnych magazynów wydawanych w naszym kraju, które opisywały NBA. W 1979 roku poleciliśmy tam z trenerem Jerzym Świątkiem. To był listopad, a my poleciliśmy tam na miesiąc. W tym czasie rozegraliśmy 13 meczów, grając je co dwa dni, i co dwa dni podróżowaliśmy samolotami do innego miasta. To było dosyć męczące, ale i ogromne doświadczenie. Mielismy dzięki temu okazję zobaczyć prawie całe Stany Zjednoczone.

Swój debiut w pierwszej reprezentacji Polski Pan pamięta?

- Niestety nie. Przyznam szczerze, że dziś nawet nie wiem, który reprezentacyjny mecz, był pierwszym oficjalnym. Tych meczów graliśmy wtedy sporo, ale po latach uznano, że większość gier sparingowych nie będzie zaliczana do tej klasyfikacji. A graliśmy na przykład takie mecze jak z reprezentacją Kanady w Karpaczu, czy w Wałbrzychu i one później nie były zaliczane do oficjalnych statystyk. Na pewno bardzo dużo było wtedy pracy na obozach przygotowawczych - znacznie więcej niż rozgrywanych spotkań, szczególnie tych liczonych jako oficjalne. Dzisiaj jest na odwrót - gra się co drugi dzień, a trenuje znacznie rzadziej. Nawet w klubie

trenowaliśmy wtedy cały tydzień, a w weekend graliśmy dwa spotkania, i później od nowa miał miejsce cały cykl treningowy, a następnie dwa mecze, dzień po dniu. Do tego dochodziły różne rozgrywki "ludowe".

Jak wspomina Pan halę Legii przy ul. 29 Listopada, bo wszyscy powtarzają, że miała niesamowity klimat?

- O tym miejscu mógłbym opowiadać godzinami. Grałem tam od 1972 roku do 1988. Przez tych kilkanaście lat byłem tam prawie codziennie. Wtedy trenowaliśmy zazwyczaj dwa razy dziennie. Atmosfera była niepowtarzalna. Pracowała tam pani Paczkowska, która o wszystko dbała i jej mąż, pan Paczkowski, który był elektrykiem. Zanim weszło się do hali, przechodziło się przez asfaltowe boisko na zewnątrz. Trzy metry za wejściem głównym do hali, zaczynało się boisko, a cztery metry dalej wisiał kosz. Od linii bocznej boiska były może dwa metry miejsca, gdzie rozstawiane były krzeselka. Wystarczyło, że przyszło 300 osób, i hala była praktycznie pełna. Mieliśmy swoich kibiców, przychodzili też nasze rodziny. W trakcie meczów na trybunach zawsze było ciasno. Niektóre drużyny przyjeżdżające do nas na mecze, śmiały się, że to była kiedyś stajnia Piłsudskiego. Ale kiedyś takich różnych "adaptowanych" obiektów do rozgrywek halowych było w Polsce znacznie więcej - Gwardia Wrocław, Wybrzeże Gdańsk... Takie hale, powiedzmy z prawdziwego zdarzenia, z trybunami to miała Pogoń Szczecin. Nasza sala może nie była "za specjalna", ale w tamtym czasie to na pewno nie był żaden wstyd grać w takim właśnie obiekcie. Z lepszych obiektów, w jakich grałem, jeszcze jako junior, to była hala Znicza Pruszków. Polonia przecież także miała nie za specjalną salę, tyle że mieli balkon. Trochę zawodników przechodziło wtedy z Polonii do Legii, na przykład Raczek, Prokop, Podgórski, Kwasiborski. Wtedy pracowało się bardziej rodzinnie. Nie było transferów gotówkowych.

Znalezienie się w kadrze na Igrzyska Olimpijskie w Moskwie było dla Pana powodem do dumy?

- Oczywiście! Igrzyska Olimpijskie to najważniejsza impreza dla każdego sportowca.

Sam wyjazd reprezentacji Polski na IO był w pewnym sensie niespodzianką, bowiem Polska nie wywalczyła kwalifikacji, ale została powołana przez FIBA w miejsce Portoryko.

- Na Igrzyska Olimpijskie trafiliśmy poniekąd przez przypadek. Tutaj wchodziła w grę światowa polityka - Portoryko wycofało się z udziału w zawodach. A my przebywaliśmy z trenerem Majerem na zgrupowaniu w Jugosławii i tam właśnie dowiedzieliśmy się, że drużyna pojedzie do Moskwy na Igrzyska. Ja grałem wówczas w reprezentacji, a za konkurenta miałem Andrzeja Sude, który później również grał w Legii [W latach 1981-83. W trakcie IO był zawodnikiem Hutnika Kraków - przyp. B.]. Na pozycji skrzydłowego na Igrzyska mógł pojechać właśnie albo Suda albo ja. Padło na mnie. A podczas samych Igrzysk, to co się dało, to zrobiliśmy. Mierzyliśmy się jednak z dwiema drużynami "nie do ugryzienia", a mianowicie Jugosławią oraz ZSRR. To były strasznie mocne ekipy, również fizycznie. Z Jugosłowianami "dostaliśmy" różnicą blisko 40 punktów [91:129 - przyp. B.].

W Moskwie graliście także z Hiszpanią. To również zespół poza zasięgiem w tamtym okresie?

- Hiszpania bez wątpienia już wtedy była mocna. Czy poza zasięgiem? Trudno powiedzieć. Chłopaki walczyli ile mogli.

Czy będąc w Moskwie na Igrzyskach, mieliście okazję kibicować z trybun pozostałym reprezentantom Polski, w innych dyscyplinach? Polacy zdobyli tam parę medali, w tym legionista Jan Kowalczyk w jeździectwie.

- Nie mieliśmy okazji oglądać innych. Właściwie oglądaliśmy tylko mecze koszykówki podczas Igrzysk. Wioska olimpijska została wybudowana w dzielnicy mieszkaniowej i była cały czas pod nadzorem policji. Wychodziliśmy właściwie tylko na nasze treningi oraz mecze koszykówki. Mieliśmy okazję widzieć jeszcze treningi najlepszych lekkoatletów świata, ale tylko treningi, nie same starty. Ale zobaczyć Kozakiewicza, czy Kowalczyka, nie mieliśmy okazji.

Jak wspomina Pan Marka Sobczyńskiego, który dołączył do pierwszego zespołu Legii w sezonie 1980/81 i dość szybko wyrósł na bardzo ważną postać tego zespołu?

- Pamiętam Marka bardzo dobrze - często, pomimo różnicy wieku, rozmawialiśmy podczas treningów, czy podróży na mecze. Był wtedy młodym chłopakiem, który bardzo szybko chłonał wszystkie koszykarskie informacje, które mu się przekazywało. Był bardzo dobrym zawodnikiem i wspominam go bardzo ciepło. Wtedy z Markiem do pierwszego zespołu przebił się także Jacek Łączyński, inny z wychowanków Legii.

W sezonie 1984/85 walka o utrzymanie w lidze była bardzo zacięta. Rywalizowaliście z Pogonią o udział w barażach o utrzymanie (te odbyły się w Śremie) - rozegraliście łącznie sześć meczów, w tym ostatnie wygraliście dwoma punktami, ale kiedy byliście już w szatni, zweryfikowano wynik na remisowy (po analizie protokołu) i chciano byście wrócili na parkiet i grali dogrywkę.

- Ze Szczecina mam tylko i wyłącznie przykre wspomnienia. Już od czasów juniorskich, kiedy graliśmy tam finały z reprezentacją Warszawy. Jeśli zaś chodzi o ten konkretny mecz z Pogonią w Szczecinie, o utrzymanie w I lidze [czyli najwyższej klasie rozgrykowej]

- przyp. B.], to o tym co było na parkiecie można powiedzieć krótko - to było drukowanie. Nie było łatwo grać w takich warunkach, kiedy miało się przeciwko sobie nie tylko rywali, ale i sędziów. Oprócz tego, że w hali była tablica wyników, mieliśmy swojego kierownika, który prowadził "obserwację" meczową na własną rękę, na specjalnych protokołach. Sam mecz był dość ostry, ale zakończył się naszą wygraną, po której udaliśmy się do szatni. Po kilku minutach do naszej szatni przyszedł sędzia, który zaczął rozmawiać z naszym trenerem i kierownikiem zespołu, że coś się nie zgadza w protokole meczowym, jeśli chodzi o liczbę punktów. Sędziowie chcieli, żebyśmy wrócili na parkiet i grali dogrywkę, ale kierownik odpowiedział, że chłopaki są pod natryskami i na boisko wracać nie będą. Mecz zakończył się oficjalnie dobrych kilka minut wcześniej. A jako ciekawostkę można dodać, że później, tak się złożyło, że tym samym pociągami do Warszawy, wracaliśmy część trasy z tymi właśnie sędziami w jednym składzie.

Później przyszło Wam grać turniej barażowy o utrzymanie w Śremie, gdzie zwyciężył Zastal Zielona Góra, ale Legia, zajmując w nim drugie miejsce, również utrzymała się w najwyższej klasie rozgrywkowej.

- Z tego wydarzenia pamiętam tylko, że spotkałem się wraz ze wspomnianym wcześniej Jarkiem Marcinkowskim z jego rodziną, która pochodziła z tamtych okolic.

Mało jest obecnie zawodników, którzy całą karierę spędzają w jednym klubie. Nie było w trakcie całej kariery w Polsce propozycji na zmianę barw klubowych?

- Miałem parę propozycji, ale z tego nic nie wyniknęło. Legia w tamtych latach była dość mocnym zespołem. Mogłem pojechać na Śląsk, zaawansowane były także rozmowy z Polonią. A dodajmy, że wtedy nie było menedżerów. Do dzisiaj pozostały mi różne papiery "na pamiątkę". Legia z kolei, kiedy dowiadywała się, że jakiś klub robi "podchody" pod jej zawodnika, stawiała jakieś nie do zrealizowania warunki. Jeśli zaś chodzi o możliwość wyjazdu na Śląsk, to moja rodzina, która mieszkała w Warszawie, pytała, po co miałbym tam jechać, mając możliwość grania w swoim mieście, w dobrym klubie. I ostatecznie z Legii do żadnego klubu w Polsce nie odszedłem. Wyjechałem dopiero na jesieni 1988 roku do Francji, a trenerem Legii wtedy został Marek Jabłoński, który zastąpił Jana Kwasiborskiego. Marka Jabłońskiego poznałem sporo wcześniej, jeszcze w latach 70-tych, kiedy chyba odbywał praktyki z trenerem Pawlakiem, a przebywaliśmy na obozie w Jeleniej Górze, jako reprezentacja Warszawy. A w tamtych czasach, chyba takim pierwszym "poważnym" transferem było według mnie odejście z Legii Marka Sobczyńskiego.

Wcześniej planował Pan wyjazd po sezonie 1987/88, czy to wyszło bardziej spontanicznie? Skąd też francuski kierunek?

- Mieliśmy z Legią tournée we Francji. Wcześniej do francuskiego klubu trafił Zdzisiek Raczek, a my z klubem pojechaliśmy do Francji trochę w ramach "wymiany". Tam rozegraliśmy kilka meczów - w Orleanie i różnych miastach. Pamiętam, że niedługo wcześniej wprowadzono przepis pozwalający wyjechać zawodnikom zagranicę po skończeniu 30. roku życia. Francuski klub Gitmoux przysłał dla mnie zaproszenie, potem trzeba było załatwiać paszport, wizy. Miałem wtedy we Francji trzech znajomych - Zygmunta Prokopa, Zdziśka Raczka i Piotrką Ciaka. Z Piotrką Ciakiem do dzisiaj utrzymujemy kontakt, wtedy mieszkaliśmy 20 kilometrów od siebie. Był tam również Wojtek Drzyzga, siatkarz [w latach 1977-86 siatkarz Legii - przyp. B.]. Często spotykaliśmy się razem we Francji. Początkowo miałem zostać we Francji rok, czy dwa... ale później dzieci poszły do szkoły. W Polsce miało miejsce polityczne przełamanie w 1989 roku. I tak zostałem na lata, a dzisiaj jeżdżę między Polską i Francją. Zawsze kiedy przylatuję do Polski spotykam się z Robertem Chabelskim. Mam syna, który grał we Francji, również w reprezentacji Francji. I chyba jest jedynym Polakiem, który był koszykarskim Mistrzem Europy. Nasza reprezentacja nigdy nie zdobyła złotego medalu ME. Teraz z kolei w Paryżu zaczynają trenować moje wnuki.

Czy tamta Legia, w której miał Pan okazję występować, nie mogła powalczyć o coś więcej na krajowej arenie? Zespół długo balansował pomiędzy pierwszą i drugą ligą, a kiedy spojrzysz się na nazwiska, te były całkiem przyzwoite.

- Personalnie tak, mieliśmy dobrych zawodników. Nigdy jednak nie mieliśmy takiego składu, który byłby scementowany. Aby osiągnąć sukces w sporcie drużynowym, to muszą być ludzie, którzy przez dłuższy czas będą grali razem, lepiej się poznają. Mieliśmy naprawdę dobrych graczy - jeśli chodzi o skrzydłowych - Raczek, Kwasiborski, Ogrodowczyk i ja. Każdy z nas "obiął" się o reprezentację Polski. Patrząc personalnie na tamtą drużynę, Legia mogłaby powalczyć o trofea, ale nigdy nie ułożyło się po naszej myśli. Na pewno mogliśmy osiągać lepsze wyniki. Osobiście najbardziej żałuję przegranego meczu finałowego Mistrzostw Polski juniorów ze Śląskiem, a także tego, że z tamtej właśnie drużyny, w klubie zostawiono tylko trzech z nas. Z kolei zawodnicy Śląska, którzy wygrali z nami nieznacznie [71:79 - przyp. B.], przez wiele lat występowali w pierwszym zespole wrocławskiego klubu. W Legii chyba tylko ja, Ciak i Ogrodowczyk w tamtym czasie nie byliśmy żołnierzami, nie podpisaliśmy zawodowych kontraktów wojskowych.

Rozmawiał Bodziach